

**MICHAŁ
BAŁUCKI**

GRZEŚ
NIEPIŚMIENNY

Michał Bałucki

Grześ niepiśmienny

«Public Domain»

Bałucki M.

Grześ niepiśmienny / M. Bałucki — «Public Domain»,

Tytułowy bohater, Grześ, to dziecko chłopskie, od najmłodszych lat chowane w taki sposób, by mogło przydać się do pomocy w gospodarstwie. Choć chłopiec umie zrobić wiele rzeczy, z którymi radzą sobie głównie dorośli, w jego wychowaniu zabrakło jednego — edukacji szkolnej. Grześ nie potrafi pisać ani czytać. Kiedy w końcu jego rodzice decydują się na oddanie go na naukę, wychodzi na jaw, jak trudne jest to do zrobienia po latach... Grześ niepiśmienny to nowela autorstwa Michała Bałuckiego, jednego z najśłynniejszych polskich autorów okresu pozytywizmu. Bałucki znany jest przede wszystkim jako powieściopisarz i komediopisarz, był również publicystą. W twórczości prozatorskiej odwoływał się do tradycji powstańczych, a także propagował idee pozytywizmu, jako autor dramatów nawiązywał do Aleksandra Fredry. Do jego najśłynniejszych utworów należą Dom otwarty i Grube ryby.

Содержание

Rozdział pierwszy. Kto był Grześ i co umiał	5
Rozdział drugi. Grześ uczy się w szkole i w domu	7
Rozdział trzeci. Marynka Kalicianka	9
Конец ознакомительного фрагмента.	10

Michał Bałucki

Grześ niepiśmienny

Rozdział pierwszy. Kto był Grześ i co umiał

Ojciec Grzesia nie był od tego, żeby jego chłopak umiał czytać i pisać i miał najszczersze chęci posyłać go do szkoły; ale zawsze się tak nieszczęśliwie składało, że nigdy na to czasu nie było. Zimy jedna po drugiej były takie ciężkie, mroźne, z zaspami śnieżnymi i zadymkami, że Wojciechowa – matka Grzesia, nie miała serca na taki czas gnać chłopca o pół mili blisko na pociejowskie grunta do szkoły; a przyszła wiosna, to zawdy chłopak był potrzebny w domu: to gęsi przypilnować na pastwisku, żeby w szkodę nie poszły, to po wódkę do karczmy, to małą Petrysię pokołysać, albo starej Giertrudzie pomagać przy bydle. W żniwa jeszcze bardziej był przydatny: gdy wszyscy wyszli w pole do roboty, to gdyby nie on, nie byłoby przy kim zostawić chałupy i małej Petrysi. Zagraj i on byli wtedy jedynymi stróżami; Zagraj odpędzał dziadów i złodziei głośnem szczekaniem, a Grześ nietylko, że Petrysię bawił, huśtał, uspił śpiewaniem, ale i gałązek chrustu nałamał i ogień rozniecił na kominie i pilnował, żeby się kot nie dostał do garnków z mlekiem i drobił zacierki na nieckach. Wojciechowa potrzebowała tylko na chwilę wpaść do domu, ponastawiać garnki, zamieszać, zasypać, a reszta to już była na głowie Grzesia. Matka miała z niego niemałe wyręczenie, bo był chłopiec ciekawy do każdej roboty, a uważny i roztropny, że można się było spuścić na niego, jakby na dorosłego. Jeszcze nie miał dwunastu lat, a już rwał się do koni, wodził je na paszę, do wody i dawał sobie radę, czy spętać na pastwisku, czy zaprząć do pługa lub poganiać przy orce. Pomagało mu do tego wiele, że śmignął prędko do góry i miał wzrost i siłę nad wiek. Gdy się go widziało zdaleka w polu przy robocie, przysięgłbyś, że to już dorosły parobek; dopiero zbliżka widać było, że to jeszcze chłopak. Z umysłu udawał starszego, niż był, naśladując dorosłych: tak samo kłął, jak oni, tak zamasyście chodził, nawet papierosy ćmił, spluwając przytem tak jak tatuś.

Wojciech nie bronił mu tego, bo go okrutnie cieszyło, że mu się taki śwarny chłopak udał, że ma z niego wyręczenie i rad przechwalał się nim wszędzie, po odpustach, jarmarkach wodząc go ze sobą, żeby wcześniej przyzwyczał się do wszystkiego. Nieraz wracali obaj podchmieleni, nie jak ojciec z synem, ale jak dwaj kamraci, trzymając się za szyję i przyśpiewując, a matka patrząc na to, aż się ze śmiechu brała pod boki.

– He, he, – mówiła – to ci chłop będzie kiedyś z tego Grzesia, ojca zakasuje.

– A dalibóg zakasuje – powtarzał ucieszony Wojciech – powiadam ci matko co to za szelma chłopak... do wszystkiego powiadam ci.

Rzeczywiście był do wszystkiego, tylko nie do książki, nie do pisania. Kiedy poszedł do pierwszej spowiedzi, to jegomość aż się za głowę wzięł, że Grześ taki duży urosł i ani czytać, ani pisać nie umie. Wnet ojca zawołał do siebie na plebanję i zaczął mu kłaść w uszy:

– Cóż wy to sobie myślicie, Wojciechu? – powiada – chłopaczysko wyrosło jak dryblas i liter nawet nie zna? Bójcie się Boga, czy wam to nie wstyd? Żeby to syn jakiego biednego komornika, to jeszcze byłaby wymowa, że nie miał za co go uczyć, ale wy przecie gospodarz zamożny i żeby tak zaniedbać dziecko. A toż on sam potem będzie miał żal za to – i bardzo słusznie.

– E ocooby to miał mieć żal, proszę jegomości – odparł Wojciech rezolutnie, – ja czytać i pisać nie umiem, a uchowałem się i jestem gospodarz, jak się patrzy.

– Ale teraz inne czasy, mój Wojciechu. Dawniej włościan uważano za małoletnich, myślał za was pan i ksiądz, – a teraz wy sami musicie myśleć i radzić o waszych potrzebach. Chłop dziś im więcej umie, tem lepiej dla niego i dla gminy.

– Ha, może i jegomość mają racją – myślał sobie Wojciech wracając do domu i, skrobiąc się po czuprynie, myślał, że może trzebaby, żeby się Grześ choć czytać i pisać poduczył trochę. Późno bo już na to; ale lepiej późno, jak nigdy. Rada tedy z żoną i syna także pytali się o zdanie.

Grześ nie był od tego, bo miał chęć do wszystkiego. Ojciec kupił mu elementarz, tabliczkę, piórnik, linją, nawet torbę na książki i Grześ wyposażony we wszystkie przybory, ubrany czysto, porządnie, jak na kmiecego syna przystało – pomaszerował do szkoły.

Rozdział drugi. Grześ uczy się w szkole i w domu

Łatwiej było jednak iść do szkoły, niż w niej wysiedzieć.

Odrazu gdy wszedł i zasiadł w ławce, cała szkoła buchnęła takim śmiechem, że profesor pomimo upominania, nie prędko mógł przywrócić spokój. Bo też w istocie ogromnie śmiesznie wyglądał chłopak taki okazały, gruby, szeroko w barkach rozrośnięty, pomiędzy małymi dziećmi. Ławka okazała się dla niego za mała i za ciasna. Gdy chciał sięść jak się patrzy, to kolanami podważył ławkę i kałamarze, kajety i tabliczki runęły na ziemię. Gdy się zaś oparł plecami, to ławka cała w tył się przechyliła wraz z dziatwą, która, przebierając w powietrzu nogami, wrzeszczeć zaczęła przestraszona.

Profesor nie widział innego sposobu, tylko kazał mu sięść osobno, na stołku pod oknem. Siedział tam odosobniony, jakby za karę, jak wielkolud jaki między małymi, narażony na śmiechy i drwinki malców. To go drażniło i gniewało.

Gorzej jeszcze było, gdy przyszło do nauki. Ponieważ nie umiał jeszcze nic, więc musiał zaczynać od kresek i abecadła, podczas gdy drobniejsze dzieci już wcale nieźle czytały i pisały. Nic więc dziwnego, że gdy taki drągał zaczął z trudnością składać litery i sylaby, cała szkoła zanosila się od śmiechu, bo strasznie zabawnie wyglądał Grześ z pomarszczonem od napięcia czołem, spocony – przy elementarzu, jakby przy jakiej ciężkiej pracy, męczący się nad odróżnieniem i poznaniem liter.

Grześ nie mógł długo cierpliwie znosić tych drwinek, bo był chłopak ambitny i upokarzało go to, żeby jego, co już z parobkami był za pan brat, do karczmy z tatusiem chodził, tutaj malcy wyśmiewali. Jakiś czas zaciskał zęby i wstrzymywał się; ale, gdy mu już tego było za dużo, chwycił raz za czuprynę najbliższego chłopaka, co ciągle chichotał podczas jego czytania, i tak go zaczął tarmosić, obracać na wszystkie strony i walić kułakiem po plecach, że zdawało się iż duszę z niego wytrzęsie.

– Puść go, daj mu pokój, puszczaj mi go zaraz – wołał na niego surowym głosem profesor.

Grześ nie słyszał upominania i mocując się zapamiętał samego profesora, gdy ten zbliżył się, aby bitego chłopca wyrwać z rąk jego, mimowoli tak silnie pchnął łokciem, że ten potoczył się kilka kroków pod ścianę.

Zrobił się straszny rumor w szkole; dziatwa rzuciła się ku obronie – jak małe pieski doskakiwali malcy z różnych stron, skubiąc, szarpiąc, waląc pięściami Grzesia, który oganiał im się, machając rękami, kopiąc nogami. Pisk, wrzask, płacz dzieci, łoskot przewracanych ławek, tworzyły piekielną wrzawę, wśród której słyszeć było donośny głos profesora, który komenderował dziatwą, nakazując im złapać i uwiązać „łotra” – sam nie zbliżał się z obawy, by mu się powtórnie co nie dostało, bo Grześ rękami walił, jak cepami, oganiając się napastnikom, a gdy mu ręce nie wystarczały, porwał stołek z pod okna i wywijając nim w koło, torował sobie drogę ku drzwiom. Następnie wyszedł na dwór ścigany wrzaskiem i pogrózkami malców i profesora.

Rozumie się po takim znalezieniu się nie miał już po co pokazywać się więcej w szkole.

Oprócz tego, ojca kosztowało niemało załagodzenie tej sprawy, bo i rodzice pobitych dzieci chcieli skargę zanieść do sądu. Trzeba było poczęstunkiem, darami zatkać ludziom usta. Wojciech synowi Ambrożego musiał odkupić potarganą sukmanę, komornicy Kundzie dać ćwiartkę żyta i jeszcze kaszy jaglanej kwart kilka i sperki na okłady dla jej syna, bo utrzymywała, że dziecku odbił coś w piersiach i okłady robić mu trzeba. Wójtowi także za umorzenie tej sprawy trzeba było posłać na święta garniec okowity i wianek wędzonej kiełbasy.

Grubo więc kosztowała Grzesiowa nauka a pożytku z niej nijakiego. Tyle tylko, że poznał kilka liter i nauczył się krzywe kreski stawiać na tabliczce.

Doradzono Wojciechowi, żeby syna dał uczyć w domu, że na posyłanie do szkoły już zapóźno. A był właśnie we wsi Marcinek Dudzik, syn komornicy, chłopak o trzy lata starszy od Grzesia, który nie tylko czytać umiał, ale i pisał dobrze – a nawet gdy profesor czasem zaniemógł, albo potrzebował

iść na jarmark albo na odpust, gdzie był zaproszony, to Marcinek zastępował go w szkole jako tako. On odczytywał listy od tych, co w wojsku służyli i odpisywał na nie, za co mu często grosz kapnął do kieszeni, a kto nie dał grosza, to dał ćwiartkę kartofli, płótna na koszule, buty podarował, resztę on i matka dorobili sobie chodząc na zarobek do żniwa, do dworskiego ogrodu plewić, na posyłki do miasta i tyle mieli z tego oboje, że nietylko wyżywić się mogli, ale i na porządną przyodziewek im starczyło.

Otóż tego Marcinka wezwano teraz do Grzesia, by go za odpowiedniemi wynagrodzeniem wyuczył jeżeli nie więcej, to przynajmniej czytać i pisać.

Marcinek zabrał się do tego z wielką gorliwością; ale nauka szła tępo, bo Grześ, choć przy książce siedział, więcej dawał baczenia na to, co się w domu i na podwórku działo. Tu Marcinek tłumaczy mu jaka jest różnica między **a** i **ą**, a Grześ tymczasem zagapił się na bramę, w którą wjeżdżał ojciec, wracający z pola od orki; Marcinek pokazuje mu, jak się pisze **s**, a on zamiast po jego wskazówkach prowadzić pióro, rzucił je na stół i pobiegł do matki dać znać, że ciele się urwało i wybiegło na drogę. To też nie na wiele zdały się rady i nauki Marcinka, tembardziej, że Grześ sobie go lekceważył, nazywając pogardliwie dziadowskiem dzieckiem. Pamiętał bowiem dobrze, jak Dudzikowa po śmierci męża na przednówku chodziła po chatach i żebrała dla siebie i syna to kapkę mleka, to chleba kawałek, lub ziemniaków trochę. I on teraz musi temu dziadowskiemu dziecku ulegać, słuchać go, robić co każe! To go obrażało.

Rozdział trzeci. Marynka Kalicianka

Był jeszcze inny powód niechęci Grzesia do Marcinka, a to z okazji Marynki Kalicianki.

Marynka Kalicianka była to tęga, puciołowata dziewczucha, jakby ją kto wykroił z rumianego, twardego jabłka, aż się świeciła od gładkości i twardości. Nosek trochę zadarty, wargi grube, ale oczy wesole takie, że się aż przyjemnie robiło gdy nimi spojrzała. Parobcy się już za nią oglądali, choć miała dopiero dwanaście lat. Oglądali się za nią, bo wiedzieli, że za trzy, albo za cztery lata będzie o nią uganiaczka, nie tyle dla jej oczu i rumianej gęby, ile dlatego, że jej tatuś wójt uchodził we wsi za najbogatszego, a ona była jedynaczka i stroili ją – oj stroili! Kiedy we święto matka ponawieszała na nią wykrochmalonych spodnic, to w duże kwiaty, to w małe, to muszlinowe, to ostre, dziewczucha wyglądała gruba, jak beczka w tej paradzie, że ruszać się dobrze nie mogła. Inne dziewczuchy z podziwem i zazdrością poglądały na nią i każda napierała się u matki o takie szumne spodnice, o takie kwiatki, jakie widziała u Marynki Kalicianki.

Grześ od dziecka małego znał Marynkę, bo ojcowie ich żyli ze sobą w przyjaźni. Starzy nieraz żartem mawiali mu: to będzie twoja żona i Grześ tak oswoił się z tą myślą, że patrzył na Marynkę, jakby na swoją własność, a że lubił udawać dorosłego, więc za przykładem parobków przywoził jej, niby swojej narzeczonej, z każdego odpustu to pierścionek, to wstążkę, to paciorki. Dziewucha brała, bo ją to bawiło.

Raz przyniósł jęj karmelków z wierszykami. Odkręcała papierki jeden po drugim, karmelki pakowała do buzi, a wiersze odczytywała sobie pocichu. Przy jednym zaśmiała się głośno i rzekła, pokazując Grzesiowi:

– To tak jakby dla ciebie napisano.

– A cóż tam pisze? – spytał Grześ.

– Na, masz, przeczytaj.

Grześ wziął kawałek zadrukowanego papieru w rękę, obracał go na wszystkie strony i nie widział co zrobić.

– No, czemuż nie czytasz?

Grześ był cały czerwony, jakby go kto krwią oblał. Wstyd mu było przyznać się, że czytać nie umie. Marynka jednak poznała to bez jego gadania, widząc, że wierszyk trzymał do góry nogami. Zaczęła się śmiać z niego i drwić.

– O! la Boga, to ty nie rozumiesz nawet z drukowanego? Taki duży chłop i czytać nie umie.

Grześ myślał, że się spali ze wstydu. Nic go tak dotkliwie nie ubodło, jak te drwinki Kalicianki – i może to było powodem, że tak prędko zgodził się na pójście do szkoły, a potem gdy tak sromotnie szkołę opuścić musiał, na naukę z Marcinkiem. Tak wielką wagę przywiązywał do tego, że przy najbliższym spotkaniu się z Marynką nie zapomniał pochwalić się przed nią, że się będzie w domu uczył.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.